
CZEŚĆ I

Atrakcyjne lato

Przylepiony do pegeerowskiego bloku komin górował nad okolicą niczym trwająca na ateistycznej rubieży kościelna dzwonnica. Przymocowana przez jakiegoś pijanego murarza zardzewiała drabinka ledwo trzymała się jaskrawoczerwonych cegieł, ostrzegawczo szczerząc swoje metalowe kły. Od lat nikt nie ważył się jednak wchodzić po tych stopniach, bo wszyscy byli przeświadczeni, że komin nieczynnej kotłowni grozi zawaleniem. Krążące nad okolicą bociany miały jednak inne zdanie. Jakby na przekór miejscowym uwiły sobie na szczycie tej postkomunistycznej piramidy misterne gniazdko, dając ludziom nadzieję na płodny rok. A tej nadziei wszyscy oczekiwali z utęsknieniem. Młodych obywateli w zatopionej wśród lasów i rybnych stawów wiosce nie przybywało. Co bardziej zaradni uciekali z tego zadupia, licząc na cywilizacyjny awans. Brutalne życie tubylcom jednak nie sprzyjało, chociaż polityczny establishment obiecywał sukces. Większość uciekinierów do rodzinnej wsi więc nie wracała. Ciężko byłoby pokazać się wśród swoich, skoro reklamowany w kolorowych folderach świat gwarantował łatwy zarobek, a tymczasem szara rzeczywistość bezczelnie odrzuciła kwiat tej społeczności poza nawias życia. Nadzieja na lepszą egzystencję uciekła w otaczający Sioło las, licząc naiwnie

na to, że synowie i córki tej ziemi rzucają się na ratunek umierającej powoli tradycji. Tymczasem nowe życie czaiło się gdzieś między sentymentem wyniesionego z domu obyczaju a nacierającą zewsząd nowoczesnością. Powoli, krok po kroczku, do wioski wkraczało nowe, które już od kilkunastu lat panoszyło się wśród uliczek pobliskiego miasta. Na szczęście konfrontacja tej gorszej z założenia wiejskiej społeczności z miejskimi cwaniakami przebiegała dość łagodnie, bo miastowi rzadko zapuszczali się w zarosnięty dziwnym zielonym badziewiem świat. Dla miastowych liczyły się tylko przybytki, w których leje się alkohol, słyhać w tle muzykę techno i można spotkać gościa z lepszego świata. Świata, który oferuje prawdziwy odjazd, czyli prochy i używki, po których można roić fantasmagorie jakby żywcem wyjęte z obrazów samego Malczewskiego.

* * *

Wspomnienia lekko przygarbionego wioskowego nauczyciela mieszały się z zapytaniem o dostarczony do sklepu towar:

– Przepraszam, czy dowieźli mój ulubiony serek?

– Ależ oczywiście, jak pan sobie życzył. Nasza firma zawsze spełnia oczekiwania porządnych klientów. Jak trzeba, to jesteśmy w stanie zamówić nawet homara w galarecie.

– Ależ panie Julianie, przecież pan wie, że czasami lubię sobie pożartować. Cóż mi w końcu pozostało? Mam więcej lat niż ta cała wioska. À propos starczych przypadłości, zupełnie zapomniałem, co jeszcze miałem kupić. Przepraszam pana, ale w tym wieku człowiek zaczyna zatracać poczucie rzeczywistości, a co dopiero pamiętać o zakupach.

– Oj, wielu dałoby majątek, aby mieć jeszcze taką pamięć. Wie pan, w tym wieku. . .

– No właśnie, słusznie pan zauważył. W tym wieku przeważnie się nie żyje.

– Przepraszam pana, trochę niezręcznie to zabrzmiało. Nie to miałem na myśli.

– Ależ niech się pan nie tłumaczy. U takich matuzaleków jak

ja to normalna sprawa. Człowiek czasami zapomina o prozie życia, która zmusza nas do zajmowania się tymi wszystkimi trywialnymi sprawami. Chyba zacznę chodzić do sklepu z karteczką.

– Zapomnieć co chciało się kupić to żaden wstyd. Gorzej, gdy ktoś nie pamięta własnych korzeni. Mamy wtedy cały tłum nawiedzonych, którzy skaczą od jednej ideologii do drugiej jak piłeczka pingpongowa. Tacy to nawet potrafią zjeść bez popicia własny życiorys. Byle przypodobać się aktualnie rządzącej ferajnie.

– Panie Julianie, to żadna nowina. Za moich młodych lat też tak było. Pamiętam, jak zaraz po okupacji przysłali nam jednego takiego inspektora. Nawet nie mówił dobrze po polsku. Za to przeszedł cały front od Lenino aż do Berlina. Widocznie większą zasługą miała wtedy być postawa ideologiczna, a nie wykształcenie. Ale co tam, najważniejsze, że mogliśmy wreszcie budować własny program nauczania. Z dwojga złego wolę Rosjan. Niemcy nam szkoły pozamykali, a oni otworzyli.

– Teraz młodzież wołałaby Niemców. Na samą myśl, że trzeba chodzić do szkoły, niektórzy dostają torsji.

– No właśnie, a my za okupacji uczyliśmy się potajemnie. Za czytanie polskich książek można było pojechać do obozu.

Konwersację stojących po dwóch stronach lady mężczyzn przerywał wchodzący do sklepu miejscowy miłośnik niewybrednych trunków. Zarost i pomięte ubranie świadczyły o dość frywolnym traktowaniu trendów mody. Człowiek przyczesał brudną ręką resztki włosów i rozejrzał się podejrzliwie na boki.

– Szefie, daj mi wino.

– A jakie sobie, chłopie, życzysz?

– Julek, nie wygłupiaj się. Przecież wiesz, co piję.

– A skąd mam wiedzieć, czy nie zmienił ci się gust?

– Ja, ja. Ciemnotę to możesz wciskać tym wyperfumowanym dupkom.

– Lechu, spoko. Przecież wiesz, że żartuję.

Sprzedawca postawił na ladzie butelkę taniego wina i wyartykułował złowrogo brzmiące zdanko:

– Trzy złote i dziesięć groszy poproszę.

– Zapisz, jeszcze dzisiaj ci oddam. Mam dostać kasę, a jak nie zdążę dziś, to jutro rano masz jak w banku.

– Wiesz co, przestań truć. Ostatnio jakoś się nie śpieszysz z oddawaniem długów.

– No co ty, jak mówię, że oddam, to oddam.

Zadowolony, chwycił w stalowy uścisk butelkę wina marki „Wino” i skierował się do wyjścia. Emerytowany nauczyciel spojrzął z politowaniem na wiejskiego pijaczka i pokręcił głową.

– Nie wiadomo, czy współczuć, czy się złościć. Jak to ludzie lubią sobie skracać życie.

– Tacy na ogół żyją długo, czego nie można powiedzieć o gnębionej rodzinie.

Zanim rozmówcy rozwinęli nowy wątek, Lechu wszedł dziarsko do sklepu i postawił pustą butelkę na ladzie.

– Panie Julianie, on już to wypił? – chwilę później cicho zagadnął pan Jędrzej.

– No jasne. Dzisiaj wyjątkowo się grzebał. Zazwyczaj, aby obalić taką flachę, potrzebuje niecałej minuty. A tłumaczy się tym, że to taki kompot. Wino nie jest gazowane, więc wchodzi do gardzieli bez szemrania. Na dowód swej prawdomówności któregoś dnia poprosił o małe piwo. Chłop guzdrał się z butelczyną całe trzy minuty. Gadał, że gaz w trunku zapycha mu przełyk. Ale co tam nasze jałowe dyskusje. Gość wie lepiej, czego pragnie jego organizm. Piwo jest be. Za to wino, ooooo, to jest coś. Ma swoje procenty i nie trzeba co chwilę bekać!

★ ★ ★

Wśród przysklepowych blekotów pospolitych i bluszczyków kurdybanków z dostojnością rzymskiego imperatora kroczyła mała jaszczurka. Jej mikre ciało ocierało się o monstrialnej wielkości chwasty, brnąc przez gąszcz z uporem godnym wtaczającego pod górkę swój głąz Syzyfa. Nim jaszczurka dopełzła do najbliższej kępy zielska, obuta w śmiercionośny bucik stopa zakończyła w sekundę jej żywot.

– A masz, wstrętny robalu! – krzyknął wiejski chłopak, miąż-

dząc ze wstrętem próbujący umknąć od swego przeznaczenia cud natury. – Hurra! Jestem wielkim wojownikiem! – krzyknęło zostawione samopas i znudzone jak mops dziecko. – Dalej, robale, wyłaźcie ze swoich nor! – niosło się echem wzdłuż porośniętej trawą skarpy. – Zabiję was wszystkie! Hurra, jestem niezwyknięty!

Chłopca ruszył z kopyta wszerz górki i momentalnie skręcił na jedyną we wsi szosę. Pisk opon przejeżdżającego w tym momencie auta świadczył dobitnie o złośliwości losu. Oto on, niedawny zabójca mniej rozwiniętego i podlegającego imperatywowi innej ewolucyjnej gałęzi przedstawiciela, sam został doświadczony działalnością tępej i zabójczej siły. Malec odbił się od maski samochodu, lądując na przeciwnym chodniku. Na szczęście przeznaczenie tym razem wybrało inny wariant rozwoju tego mikrokosmosu, dając nieletniemu wandalowi szansę na poprawę własnego żywota.

– Gnoju, jak łazisz! – zagrział tubalny głos wystraszonego na amen kierowcy. – Śpieszysz się, sukinsynu, do piachu?

Chłopak nie zważał jednak na krzyki opuszczającego w tym momencie pojazd rozwścieczonego człowieka, tylko pomknął przed siebie na spotkanie kolejnej, jeżącej włosy na głowie przygody. Gość, klnąc pod nosem, wsiadł do swej limuzyny i próbując odreagować stres, wcisnął pedał gazu do dechy. Umiejętności rajdowe niedoszłego mistrza kierownicy były jednak mało wystarczające jak na siedzące w jego głowie ambicje, toteż wyrznął z impetem w przydrożny hydrant, powodując wytrysk wprost do nieba świeżej wody. Kolidująca z zardzewiałym metalowym kołkiem pobudziła miejscową ludność do wychynięcia swych głów zza firanek nagminnie mytych okien. Przez wypucowane szyby wybałuszały na świat dziesiątki par oczu. Nie minęła jednak chwila, jak z pobliskich, pamiętających pegeerowskie czasy bloków wybiegła pierwsza tura ciekawskich. Prym wśród gapiów wiódł gość o ksywie „Wolna Europa”. Tak go przynajmniej nazwała większa część pobratymców, naigrawając się z jego wszechwiedzy. Pan Włodek popatrzył na wyrządzoną przez miejscowego pirata drogowego szkodę i rzekł:

– No nie wiem, gmina ma swoje wydatki, więc nie może ponosić kosztów z tytułu czyjegóż gapiostwa.

– A ty co? – odezwała się wścibska sąsiadka, zasiedlająca trwa-

jące na tym samym odwiecznym posterunku czworaki. – Twoje rządy w gminie już dawno się skończyły. Teraz to se możesz tylko pogwizdać.

Rozrośnięty do rozmiarów wiejskiej drużyny piłkarskiej tłum zarżał niczym wychudłe chabety na widok porzuconej pod płótem wiązki siana.

– Włodek, ty nie filozofuj. Przecież każdy głupi wie, że ten hydrant stoi w złym miejscu. Jak pamiętam, to już czwarty raz ktoś w niego wali – mąż wścibskiej sąsiadki, odważający się wypowiedzieć swoje trzy po trzy tylko w obecności swej silnej połowicy, wyartykułował z gardła kaszlący śmiech.

– Gienek, ty nie bądź taki mądry, bo jak zabiorę twoją Zochę, to nie trafisz do domu – odciął się Włodek i dalej jął deliberować nad przyczyną wiejskiej katastrofy.

W międzyczasie ktoś rozsądny zadzwonił jednak po straż pożarną, bo bijący w górę słup wody zaczął tworzyć na szosie i w przydrożnym rowie namiastkę nowego rybnego stawu. Ostry dźwięk strażackiej syreny sprowadził wszystkich do rzeczywistości. Chłopaki w granatowych uniformach i srebrnych hełmach rozbiegli się na wszystkie strony, sprawiając wrażenie komandosów, którzy lada chwila opanują ten mokry żywioł. Im dłużej jednak trwała bieżanina dzielnych strażaków, tym coraz większy chaos zaczął się panoszyć w miejscu akcji.

– No nie damy rady! – dramatycznie wrzasnął w przestrzeń przełożony zgrai poskramiaczy czerwonego kura. – Żeby zamknąć to cholerstwo, musimy mieć klucz.

– No co wy, jeździecie na akcje bez kluczy do hydrantów? – zadrwiła przyglądająca się całemu zajściu Bulowa, notabene weteranka czynów społecznych w dawnym pegeerze. – Za moich czasów to cały strażacki sprzęt mieliśmy w gospodarstwie. I nic się nie spaliło, ani nawet nie zalało.

– A mnie się często zdarzało zalać – odezwał się „wczorajszy” miejscowy podstarzały zabijaka. – I żaden hydrant mi nie fikał. Jak trzeba było, to takie pierdoły załatwiała się między jedną fiaską a drugą. A teraz przyjeżdża ekipa, która nie wie, co zrobić.

– Panie kolego, jak taki jesteś cwany, to proszę bardzo, zakręć ten kran – odezwał się zdenerwowany dowódca strażaków.

– Chłopaki, dla mnie wasza prośba to rozkaz. Mietek, leć po naszą wajchę, ino szybko, bo zaraz we wsi zabraknie wody.

Mietek Góral, nieodłączny towarzysz pijackich ekscesów miejscowego zabijaki, pobiegł czym prędzej do domu po rzeczoną wajchę. Wracając z pokaźnej wielkości metalowym drągiem, na końcu którego przyspawana została sześciokątna płytką, zahaczył o wystający na skarpie polny kamień i runął jak długi na asfalt. Przez chwilę leżał oszolomiony, a z podrapanej twarzy sączyła się cieniutka strużka krwi.

– Jezus Maria! Ratunku, ranny! – przez rechot gawiedzi przedzierał się ironiczny pisk sąsiadki z czworaków. – Zaraz się wszyscy tu pozabijamy!

Mietek wstał z trudem z szosy i otrzepał brudne od piachu spodnie. Wykrzyczał w przestrzeń jakieś mało cenzuralne słowo i podreptał w kierunku stojącego nieopodal miejscowego zabijaki.

– Masz to gównno i więcej nie zawracaj mi głowy – krzyknął zdenerwowany, trzymając się za krwawiący policzek.

– Musisz to zdezynfekować. Inaczej pójdzie zakażenie. Proponuję „bombkę”, bo to najlepsze lekarstwo – odciął się zabijaka i oddał domowej roboty klucz poskramiaczowi wodnego żywiołu.

Strażak napał z impetem na zawór hydrantu i spurpurowiał na twarzy. Zardzewiały gwint ani drgnął, zmuszając go do jeszcze większego wysiłku.

– Uważaj, abyś nie pierdnął – zaśmiał się ktoś z tłumu, zarażając resztę gapiów spontaniczną salwą śmiechu.

– Dalej, chłopaki, pomóżcie! – krzyknął dowódca wozu do przyglądających się strażaków.

Trzech chłopów w srebrnych hełmach napało całym ciężarem swych ciał na długi drąg, ale zamiast spodziewanego efektu dało się słyszeć tylko ciche chrupnięcie. Zrobiony ze starej rury i kombajnowego klucza instrument do odkręcania zardzewiałych śrub rozleciał się niczym suchy patyk. Chłopaki padli plackiem w kałużę wody, wzbudzając głośniejszy śmiech niż dźwięk umieszczonej na dachu strażackiego wozu syreny. Głośne przekleństwa pomie-

szały się z uszczypliwymi uwagami na temat sprawności bojowej amatorów od zwalczania żywiołów. Jako pierwszy zreflektował się dowódca.

– Chłopaki, zostawcie ten szmelc. Trzeba zakręcić wodę na głównym kolektorze.

– Co??? Ani się ważcie! – krzyknęła przyglądająca się całemu zajściu jedna z miejscowych gospodyń. – A obiad na czym mam ugotować? Eksperymenty będą sobie robić. Zakręć wodę u siebie w domu, mądralo.

– Próchnicka, nie plećcie głupot! – krzyknął miejscowy zabijaka. – Chcecie, żeby nas załało?

– Zanim do mnie dojdzie woda, to wyschną wszystkie źródła.

– Kobieto – rzekł Włodek – a kto za tę wodę będzie płacił, co? Jak nam gmina przyśle rachunek, to wpadniesz do tego swojego garnka.

Dalsze kłótnie i przekomarzania nie odbywały się już z udziałem strażaków, bo ci jak na komendę wsiedli do wysłużonego wozu bojowego i na syrenie pomknęli na drugi koniec wioski, gdzie wśród lip i brzęczących wokół pszczół rozsiadła się miejscowa przepompownia wody. Po paru minutach krany wyschły na amen. Ta część miejscowych, która nic nie wiedziała o akcji strażaków, zaczęła kłąć pod nosem, reszta co bardziej zaradnych pobiegła do sklepu, wykupując na pniu cały zapas pięciolitrowej wody niegazowanej. Po kilku godzinach awaria została usunięta, a dowódca wozu bojowego OSP Kijanki Wielkie wypinał pierś niczym oczekujący przypięcia orderu narodowy bohater.

– Gamonie! – wrzasnęła jedna z wiejskich gospodyń. – Pięć godzin odkręcali śrubę i myślą, że ich za to jeszcze pochwalimy. A spadajcie do swojej remizy i na drugi raz niech przyślą nam zawodowych.

Strażak spąsował na twarzy i wymamrotał coś pod nosem. Poczekał jeszcze na taszczących ze sklepu skrzynkę piwa chłopaków i rozkazał opuszczenie tej nieprzychyłnej bohaterom ziemi.

I tylko miejscowy urwis, sprawca tego całego galimatiasu, stał za drzewem, kwiląc ze śmiechu niczym lechtany za uszami osioł.